



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół. kwartal. 5 marek.

VOX MYSTICA.

Szept jakiś słyszę w głębi mojej duszy.
Od dawien dawna, a nie wiem z kąd płynie,
Często go życie gwarem swoim zgłuszy,
Często w topieli dociekań zaginie.
Lecz zawsze z mętnej wynurza się toni
I na dnie serca pieśni ciche dzwoni.

Lubię go... Lubię słuchać jego dźwięku
Niepojętego dla ludzkiego ucha,
Za to, że ani podobny do jęku,
Jakim to życie, w każdym dniu wybucha,
Za to, że myśl mą zwraca do błękitów
Wskazując zorze nieznanych rozświtów.

Ani go pojąć, ni wyśpiewać mogę
I dziwem dla mnie jest ten głos tajemny,
I radość wielką uczuwać i trwożę,
Kiedy przemawia i jakiś byt ciemny
Dla mego serca i dla moich oczu
Oglądam wówczas, byt wśród gwiazd... w prze-
[zroczu.

Czy to ułuda chorej wyobraźni?
Czy to przecucie innej, lepszej doli?
Nie wiem—wiem tylko, że w życiowej kaźni
Na tej przesiąklej krwią i łzami roli
Jest mi przeczystym, kryształowym zdrojem
Kędy się serce orzeźwia przed bojem...

I wiem, że gdyby w zniechęcenia chwili
Nie zabrzmiał w duszy pieśnią słodką, jasną,
Gdyby go udzie w piersi mej stłumili,
To jak o zmierzchu blaski słońca gasną —
Zgasła by we mnie owa jasność złota,
Która mi świeci wśród mroków żywota.

Włodzimierz Perzyński.

SPRAWA KOBIET W FINLANDYI.

Świeżo wydane w Londynie sprawozdanie baronowej Aleksandry Gripenberg, z Helsingforsu, dokładnie zobrazowuje obecne położenie sprawy niewieściej w Finlandyi.

Z ciekawej tej broszury, dowiadujemy się, iż mały, wśród jezior i lasów olbrzymich położony kraj, pomimo wyczerpującej walki ze śniegami i długotrwałą zimą, więcej okazuje energii i inicjatywy w cywilizacyjnych swych próbach, niż reszta starej Europy. Oto np. dążąc śladami Stanów Zjednoczonych wprowadziła Finlandya u siebie szkoły mieszane, elementarne i średnie; poczem, idąc konsekwentnie dalej, wyższe zakłady naukowe i uniwersytet uczyniło również dostępnymi dla kobiet.

System szkół mieszanych, jak najzbawiennej-sze dotąd wydaje owoce. Zaostrza on emulację obu płci w naukach, chłopców uobyczaja i czyni łagodniejszymi; u dziewczynek podnieca chęć do nauki i zamiłowanie wiedzy. Poważna a staranna opieka nad wychowankami, rozwija

wśród nich równocześnie: rygor, karność i poczucia obywatelskie.

Ten ściśle nowożytny kierunek pedagogiczny, zdawałby się mówić o swobodach, jakich kobiety używają w Finlandyi. Tymczasem, mylnie to pozory. Nowe bowiem prądy, nie zdołały jeszcze zatrzeć praw dawnych, upośledzających świat niewieści.

I tak naprzykład: mężczyzna uważany jest za pełnoletniego, w 21 roku życia; kobieta, dopiero po skończeniu 25-u lat. Wtedy więc, gdy najsilniej garnie się do czynu i wiedzy, niewolno jej działać samoistnie, a formalności opieki tamują jej swobodę ruchów na każdym kroku. Z drugiej strony, to samo prawo pozwala kobiecie w 15-m roku życia iść za mąż. Wziąwszy pod uwagę warunki klimatyczne Finlandyi, jako kraju bardzo wysuniętego na północ, zrozumiemy z łatwością, iż dziewczę piętnastoletnie jest tam jeszcze dzieckiem zupełnem. Stawianie przeto na czele rodzin, istoty, wątłej fizycznie, a nierozwiniętej umysłowo i moralnie, jest równie zgubnem, jak tamowanie niezamężnej prawa rozporządzania własnymi losami, aż do lat 25-ciu.

Chcąc znieść niesprawiedliwość tę, Finlandki zjednoczyły się w 1884 r. i założyły „Ogólny związek kobiet,” zwany po fińsku zaś: *Suomen Naisyhdistys*. Stowarzyszenie to, obok głównego ogniska, uorganizowanego w Helsingforsie, liczy dziś jedenaście związków pomocniczych, rozgałęzionych na prowincyi.

Sejm finlandzki zbiera się tylko co trzy lata. Ciało prawodawcze, urzędujące w równie rzadkich odstępach czasu, ma zazwyczaj taki nawał spraw do załatwienia, iż trudno jest wywalczyć, by zechciało zająć się kwestyą swobód dla kobiet. Pomimo tego, dzięki petycyi, zaopatrzonej w 8,000 podpisów, sejm wprowadził nowe ustawy edukacyjne, o których wspominaliśmy powyżej, zapewnił kobietom prawa wyborcze

w samorządzie miast, oraz wpływ czynny w radach i instytucjach filantropijnych. Po zatwierdzeniu ustaw tych, rząd mianował 125 pań, opiekunkami ubogich.

Działalność „Fińskiego związku kobiet,” dość jest rozległą i różnorodną. Urządza on: odczyty publiczne w kwestjach obchodzących świat niewieści, wykłady dla robotnic, kursy kucharstwa i krawiectwa po wsiach i miasteczkach, kolonie wakacyjne dla pracownic strudzonych lub chorych, i t. d. i t. d. Stowarzyszenie czuwa nad rozwinięciem instytucji sanitarnych i pojęć higieny, drukuje rozprawy z zakresu spraw niewieści, troszczy się o rozgałęzienie nowych źródeł pracy, a wsparte zapomogą rządową 4.000 marek, przeprowadziło pierwszy spis statystyczny, wyjaśniający udział rąk niewieści w przemyśle i rzemiołnictwie Finlandyi.

Najciekawszym rysem ruchu tego jest fakt, iż biorą w nim udział przeważnie włościanki. Przez wzgląd na liczne ich garnięcie się do „Związku kobiet,” zniżono w filiach jego opłatę roczną na 80 fenigów. I istoty te, ubogie, spracowane, brną nieraz kilka kilometrów po śniegu, by słuchać z natężoną uwagą odczytu, wprowadzającego je w inne światy. Zebrania takie są przytem rodzajem uroczystości. Wśród salki przybranej zielenią, czystością, ustrojonej, zbiera się około 200 osób, obojga płci, z duchowieństwem na czele, po wysłuchaniu zaś, przystępnego wykładu, z zakresu: gospodarstwa, ekonomii domowej, wychowania, stanowiska kobiety w chrześcijaństwie, i t. p. następuje skromniutka uczta, którą zarząd podejmuje te strudzone, od trosk i pracy wybladłe, a często z daleka przybywające słuchaczki.

W miastach, współdziałają kobiety pracujących jest również znacznym. Cech szwaczek i krawcowych przystąpił zbiorowo do związku. W ten sposób, kwestya niewieścia stała się w Finlandyi odrazu ruchem, ogarniającym zarówno inteligencję, jak klasy pracujące. Jako taka, przybrała ona charakter społeczno-etyczny; bo jeżeli, z jednej strony, Finlandki domagają się równych praw w wykształceniu i pracy, ze swymi mężami i braćmi, to z drugiej w zamian, obok żądania przywilejów, wywieszają wysoko sztandar nakładanych przez nie obowiązków.

Skoro „ręka, która porusza kołyską, rządzi światem zarazem,” jak mówi stare przysłowie, to ręka ta powinna należeć do istoty prawej, czystej i rozumnej, równej wykształceniem temu, kto z jej inicjatywy, światem owym kierować będzie.

Jeżeli między kobietą a mężczyzną nie zapamięta jednak poziomu umysłowy, w takim razie najświętszy i najwznioślejszy, bo duchowy, czysto psychiczny pierwiastek małżeństwa, przestanie istnieć zupełnie. Na tej więc zasadzie żądają Finlandki pełnego równouprawnienia naukowego.

Posiadłszy je zaś, na mocy postanowień parlamentu, dodają bardzo naturalny postulat: „Za równą pracę, równa płaca.” Takie to proste na pozór, a przecież rozwiązuje jedno z cięższych zagadnień ekonomicznych.

Znaną jest zasada Proudhon'a, sformułowana przez Emila de Girardin: „Partout ou la femme vient faire concurrence à l'homme, ce n'est pas le bien-être collectif qu'elle augmente, c'est le taux du salaire qu'elle fait baisser.” Finki zwyciężają słynny ów paradoks, przeciwstawiając mu logiczny a więc nie obniżający zarobku męskiego, warunek: „Za równą pracę, równa płaca.” Ciekawym jest kraik ten, leżący od nas—o mie-dzę tylko.

A. Krz.

KAZIMIERZ GLIŃSKI

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Zdziwiła się Jadwiga, gdy zawiadomiwszy rodziców o zamiarach Aleksandra, nie dostrzegła w nich zaniepokojenia żadnego. Pani Marta tylko zrazu czoło zmarszczyła, jakby namyślała się nad czemś, po chwili westchnęła i rzekła:

— Szkoda, że wprzód nie poznałam tej Rabskiej.

— Wiem, mamo, że o jakie lat piętnaście jest starszą od Olesia.

— Zaduża to trochę różnica wieku, — odpowiedziała Sośnicka, — lecz znałam kiedyś na pozór tak niedobre małżeństwo a przecie szczęśliwi byli.

— A ojciec co na to? — spytała Jadwiga.

— Trzykroć, — półgłosem odezwał się Sośnicki.

— Jest-że to warunkiem szczęścia? — rzekła Jadwiga.

— Zapewne, że nie—ale zawsze, moje dziecko, przyczynia się do niego—wiadomem zaś jest, że cała rzesza ludzi do dobrobytu dąży. Jeżeli pieniądz nie zawsze szczęście daje, bez niego—niema szczęścia! Ot, my na przykład: zdrowie mamy, łączy nas nieostudzone ciepło uczuć rodzinnych, jesteśmy razem... a jednak? Nieraz głodno i chłodno, choć się zapracowujesz dla nas. Oleś o nas nie zapomni.

Jadwiga przez łzy spojrzała na ojca —

— Westchnąłeś, ojcie, jakbyś niezupełnie pewnym był słów tylko co wypowiedzianych...

Sośnicki się nachmurzył.

— Nie udał się nam trochę chłopiec, — to prawda! — szepnął.

Po chwili dodał:

— Ha! zobaczymy jak to będzie!...

I już innych słów nie słyszała Jadwiga.

Widocznem było, że ciężar życia zanadto przygniatał steraną pierś pana Mateusza, że trwożyła go zbliżająca się starość nieogrzana ciepłem kominka, że jeżeli w młodości swojej marzenia miał ogniste, przekonania zbliżone do przekonania Jadwigi—czas, obrywając listek po listku z pięknego kwiatu podniosłych ideałów—zostawił dzisiaj lodygę suchą, pragnącą tylko spokoju, ciszy i ciepła.

To odkrycie tego zaniku siły duchowej, przerażało Jadwigę. Tak niedawno jeszcze był innym, tak niedawno jeszcze wyrzucał synowi brak zapału i obniżenie się lotu, tak niedawno jeszcze był gotów do nowych poświęceń i ofiar—dziś z lodowatą obojętnością przyjął wiadomość o zamiarach syna, które dla Jadwigi, nie były niczem innem, jak tylko sprzedaniem młodości i sił za cenę trzechkroćstotysięcy rubli. Wiadomem był zresztą Aleksandrowi stosunek pani Porczyńskiej do Jadwigi, oszczercze głosy, jakie o jego siostrze chodziły i nie on w obronie tej siostry stanął—pierś swą nadstawił człowiek obcy, podczas gdy on, brat rodzony schlebiał przewidył wdziałom Rabskiej.

Jadwiga przypomina spotkanie się swoje z bratem i z temi paniami w sklepie Kwiatkowskiej. Udał, że jej nie poznaje, a gdy się odezwała do niego, rumieńcem wstydu spłonął. Czuje ostry ból w sercu—spojrzenie z ojca na matkę przenosi i zdaje się, że na ich twarzach wymówkę dostrzega za tę szczupłość mieszkania, chłód ścian, za wyszarzaną suknię matczynej i za ten wyraz zniechęcenia w twarzy ojca.

— A czy rodzice wiedzą, — spytała po chwili, — że Oleś, przed daniem słowa pannie Rabskiej, związał się był z Helenką słowem?

— A tożby głupstwo zrobił! — obruszył się Sośnicki.

— A jednak, Helenka, pomimo dziwactw swoich, ma dużo serca i... Ach! chciałam powiedzieć: charakteru męskiego.

— Koczkodan! — mruknął Sośnicki.

— Rabską zna ojciec?

— Nie—nie znam... ale Rabscy są jedni tylko. Ród znany—fortuna duża.

— Fortuna! — szepnęła Jadwiga. — Powinien jednak Oleś o swoich zamiarach powiedzieć rodzicom —

Pan Mateusz machnął ręką.

— Co dzieciom dziś znaczą rodzice!... — mruknął —

— Nie dla wszystkich, ojcie, — rzekła Jadwiga, klękając przed panem Mateuszem.

Sośnicki zaczął ręką gładzić miękkie włosy ukochanej córki, Jadwiga położyła głowę na kolanach ojca i zamyśliła się.

— Jakże się ma Paweł? — zagadnął po chwili pan Mateusz.

— Dzięki Bogu—zdrow, — odpowiedziała Jadwiga, podnosząc głowę.

— A czy wiesz, że Rzutkiewiczowa ma do czterdziestu tysięcy rubli kapitału?

— Cóż to mnie obchodzi, ojcie?

— Przed kilku dniami cały ten kapitał przeniosła na imię syna —

— Może być spokojna, że ten syn jej nie opuści... Ale kto ojcu o tem wszystkim mówił?

— Spotkałem wczoraj Rzutkiewiczową w banku... Zaczęliśmy rozmawiać z sobą. Od słowa do słowa, przyszło do pewnych wywnętrzeń się z jej strony. Dużośmy mówili także o tobie, Jadwisiu —

— Pani Rzutkiewiczowa mnie lubi.

— A Paweł...

Jadwiga podniosła się z klęczek.

— Kocha—wiem o tem!

Sośnicki wpatrzył się w córkę —

— Pomyśl... Jadwisiu — wyszeptał.

Jadwiga nie odpowiedziała nic—stłumiła tylko westchnienie w piersi.

Nazajutrz dzień był prawie letni i Rzutkiewiczowa z synem odwiedziła Sośnickich. Jadwigi nie było, nie wróciła jeszcze od zajęć swoich; pan Mateusz chciał posyłać po nią, ale Paweł sprzeciwił się, wiedząc, że była na lekcji u Dudkowskiego.

— Poczekamy na córkę państwa w ogrodzie, a tymczasem o dawnych pogawędzimy czasach.

Pan Mateusz westchnął.

— Lepiej nie mówmy o nich!...

Na myśl mu przyszedł Gustaw, o którym teraz nie rad wspominał.

Paweł, jak gdyby zrozumiał myśl pana Mateusza, zaczął mówić o wypadkach dnia powszedniego, ale Sośnicki odpowiadał półgębkiem, co nie było dowodem, że go zbyt zajmowała prowadzona rozmowa. Poszli do ogrodu i usiedli na ławce pod drzewem.

— Czy państwo myślicie na lato Szarogród opuścić? — pytał Paweł.

— Ani dokąd, ani o czem nie mamy wyjechać, — odpowiedział Sośnicki. — A pan masz zamiar?

— Nie, — odparł szybko Paweł. — Będę czekał rozwikłania się moich losów.

— Losów! — westchnął Sośnicki — Czy one tylko od pana zależą, to jest—czy nikt prócz pana, nie jest w grę ich wplątany?...

— Rzucasz mi pan pytanie, a zdaje mi się, że pan sam mógłbyś odpowiedzieć...

— Tak! — odpowiedział krótko Sośnicki.

— A! więc pan wiesz! — spytał Paweł powstając —

— Wiem!

— Domyśliłeś się pan—czy może...?

— Domyśliłem się—a resztę mi powiedział pan —

Paweł podszedł szybko do pana Mateusza i ruchem gorączkowym dłoń jego ujął.

— Kto panu powiedział?... przecie nie—ona?

— Ona, panie Pawle! Była to odpowiedź na moje pytanie.

— Powiedziała więc, że—kocham?

— Tak.

— A sama—czy sama o sobie nic nie wspominała?

Sośnicki milczał chwilę—

— Pan wiesz, że ona—czeka! — dodał z niechęcią.

Rzutkiewicz usiadł ciężko na ławie.

— A mogą lata minąć, mogą zresztą przynieść—rozczerowanie. Żal mi dziecka!—dokończył szeptem.

Była chwila milczenia—

— Zdaje mi się jednak,—dodał po chwili Sośnicki,—że... wiele by to zależało od pana,

— Nie mam prawa dobijać się o jej rękę—

— Choćbyś pan był pewny zwycięstwa?

— Nawet... wtedy—wyszeptał Paweł.

— W ten sposób każdą walkę pan przegrasz, Ale—mówmy bez ogródek. Pan kochasz Jadwigę?

— O tem pan nie wątp chwili jednej...

— A jeśli ona...

— Co? co?—zawołał Paweł, a wyraz ogromnego szczęścia twarz mu rozpromienił.

— Usiądź pan i wysłuchaj mnie spokojnie. Wspomnienia jeszcze żyją, ale rzeczywistość może silniej przemówić. To zależy od pana. Jeżeli pan nie zauważył, to ja zauważyłem łamanie się w sercu Jadwigi dwóch sił...

— Więc... pan... dajesz mi prawo?—wyszeptał Paweł.

— Poznałem ciebie, panie Pawle i chciałbym synem cię nazwać.

Paweł z rozrzwinięciem uściśnął dłoń pana Mateusza.

— Ty z jednej a ja z żoną z drugiej strony będziemy pracowali. O swojej miłości nie mów jej nie, niech o niej nie słyszy, lecz ją widzi. Nie zrażaj się chwilowym powrotem wspomnień. Przeciw nim teraz sprzymierzyć się musimy. Podajmi rękę!

Paweł mimowoli dłoń wyciągnął.

— Ale—rzekł—pan o wspomnieniach mówiłeś, w nich zaś są żywi, nie umarli...

— Umarli, panie, nam nie szkodzą—żywi szkodzą, a mnie już męczy ten romans rozłożony na lata.

Wstał i uściśnął dłoń Pawła.

— Zatem nie gorące kuć żelazo będziemy,—dodał—lecz rozgrzewać niepoddające się jeszcze.

Uśmiechnął się, nie wywołał jednak uśmiechu na usta Pawła.

Pan Mateusz poszedł do domu, by fajkę już wygasłą nałożyć, Rzutkiewicz sam pozostał.

Stał chwilę wpatrzony przed siebie, jakby rozbiegał w myśli zasłyszane tylko co wyrazy.

— Do jakiego dzieła mam przyłożyć rękę?—szeptał w duchu—Do pozyskania serca Jadwigi, zostającego jeszcze pod wspomnień rokiem. Nie umarli lecz żywi są w tych wspomnieniach, nie ze znikomym choć potężnym cieniem mu walczyć, lecz z sercem drugim, nie mniej kochającym jak moje serce... Tak! Jadwigo, nie cień, nie marę kocha...

Milczał chwilę.

— Ale wspomnienia słabną, nie zjawia się mara krwi i życiem drgająca. W sercu Jadwigi kielkuje kwiat nowego uczucia, potrzeba go ogrzać tchem piersi cieplej, dla siebie zdobyć.

— Dla siebie?...

Ach! ileż razy zdawało się Pawłowi, że marzeń był już bliski. Tymczasem wspomnienia wracały i błogą oddalały chwilę.

— Nie zrażaj się powrotem wspomnień—powiedział Sośnicki.

Paweł wzdrygnął się, na myśl zawartego z panem Mateuszem sojuszu.

Teraz czuł Paweł, że stosunek jego do Jadwigi zmienić się musi. Dawniej miał prawo starania się o pozyskanie jej uczuć, teraz byłoby to grą występą, skorzystaniem z oddalenia Gustawa, z chwilowej słabości serca Jadwigi. Teraz by nie mógł spojrzenia swojego w żrenicach jej utkwąć ani ręką w dłuższym, serdecznym uścisku zatrzymać—ten sojusz haniebny spaliłby go ogniem wstydu, ta zмова, po za plecyma trzeciego, niewypowiedzianie wstrętą mu się wydała. Słowa, wzrok, uścisk ręki będzie musiał dziś na uwięzi trzymać,—i—gdyby dzisiaj broniła się

wspomnieniami dawnymi, świętością dawnych przyrzeczeń nie mógłby jej powiedzieć, jak ongi: „Kiedys!...“ lecz, albo milczećby musiał, serdeczny ból w sercu kryjąc—albo podtrzymaniem tych wspomnień, obrócić Jadwigę twarzą wprost do Gustawa, a samemu zrzec się już nadziei wszelkiej, oszaleć i własnymi się łzami zadławić.

Po małym kawałku ogrodu Sośnickich, oblanym blaskami zachodzącego słońca, chodząc krokiem powolnym, walcząc z uczuciami tłoczącymi się mu w duszy. Zrodziła się w nim myśl nawet opuszczenia Szarogrodu na zawsze. Czuł jednak, że tego rozłączenia się by nie przeniósł, nawet szeptał posłyszał jakiś, który przemówił do niego głosem pewności, że wyjazdem swoim zranił by serce jedno, a było niem Jadwigi serce.—Daremno by chciał burzyć gmach dawnych swoich marzeń—marzenia wracają. Paweł czuje, że w sercu Jadwigi jest już zakątek, gdzie zapisane zostało imię jego. Przyjaźni nie znała, prześladowała ją zawiść ludzka—on jeden był tym duchem bratnim, do którego garnęło się jej serce samotne.

Gdy pan Mateusz nakładał fajkę w gabinecie, Paweł chodząc myślom własnym oddany—Sośnicka z panią Rzutkiewiczową podobne plany snuły, o jakich przed chwilą rozmawiał pan Mateusz z Pawłem.

— Wróci, nie wróci—mówiła Rzutkiewiczowa—to wielkie pytanie! a tymczasem mój biedny Paweł humor i zdrowie traci. Pawełek nie ma przedemną sekretów żadnych,—mówimy codziennie o Jadwini, a na myśl, że go pokochać kiedyś może—ożywia się i dawna mu wesołość powraca. Czy pani myśli, że wyszedł by z tej rany otrzymanej w pojedynku?... Nie—gdyby nie nadzieja, że ta krew dla Jadwini przelana przyciągającą moc mieć będzie. To go postawiło na nogi.—A teraz pani mi mówi, że w sercu Jadwini dostrzegła iskrę uczucia... To dobrze, że o tem obie wiemy—że we wspólnych zgadzamy się myślach. Gdzie jest isierka, tam i płomień być może, popracować tylko trzeba nad rozdmuchaniem tego płomyka, a już my, matki, tajemnicą serdecznych pragnień związane, dokonamy zamierzonego dzieła...

A na to pani Sośnicka:

— Jak to dobrze, żeśmy się porozumiały na koniec. Życzeniem jest mojem i męża uratowanie Jadwini z wiadomej już pani egzaltacji miłosnej. Jak opowiadałam pani była to wyjątkowa chwila, w której dwa serca młode przytęgnęły do siebie... Ale my innemi oczyma patrzymy na świat i życie.—Listy pana Gustawa, na które nieraz miesiącami całemi czekać potrzeba, podtrzymują jeszcze dawne wspomnienia w sercu Jadwisi, ale już ją tęsknota znużyła—a i syn pani malutki wyłom zrobił w tem sercu.—Dziś tylko trzeba rozumnej pracy i oględnego postępowania, by te dwa serca przytęgnęły do siebie. Ja z mężem będziemy powoli oddziaływali na nią, a pani niech synowi zachęty nie szczędzi, by się nie zrażał chwilowym smutkiem Jadwisi, powrotem wspomnień przelotnych...

Obie panie uściśkały się serdecznie i pewne w skuteczność swoich zamiarów, czuły, że jakiś ciężar spadł z ich piersi, a dzień jutrzejszy promienniejszym blaskiem zaświeci.

Wieczór był prześliczny, w ogrodach rozkwitały bzy i czeremchy, iż całe powietrze przepełnione było wonią tych kwiatów. Gdzie nie gdzie słowik się odezwał; i umilkł spłoszony turkotem kół przejeżdżającego powozu.

Ptaszę śpiewacze nie było gościem rzadkim w Szarogrodzie. W śródmieściu, w tak nazwanej „dzielnicy murowanej“ bard wiosenny nie miałby gdzie głowy przytulić, ale na przedmieściu były wielkie obszary ogrodów i sadów owocowych, drewniane domki parterowe kryły się wśród drzew cienistych i dobre schronienie dawały przybyłym zdaleka śpiewakom. To też niekiedy odzywały się niestrojne jeszcze głosy słowicze, to też tu i tam zatrzymał się przy parkanie przechodzień jakiś i słuchał z radosnym uśmiechem na ustach witającego wiosnę słowika.

Przysłuchiwał się i Paweł a wyraz rozrzwinięcia na twarzy mu świecił.

W tej chwili wracała Jadwiga z lekcji od dziatwy.—towarzyszyła jej Helena. Helena zapowiedziała była przyjaciółce, że „na wykłady, pójdzie z nią razem. Słuchała z zajęciem opowiadania Jadwigi, zwracała uwagę na każdy szmer zachwyty, jaki w młodych słuchaczach się objawiał, zainteresował ją Andrzej, którego, jak zawsze, rozplamienione oczy, spoczywały na twarzy nauczycielki, którego piękne, wyniosłe czoło nosiło wybitne znamiona myśli usilną pracą w mózgu przetwarzanej, a oczy czarne gorzały ogniem, który zdziwił i zastanowił Helenę.

Panny szły szybko,—a choć szły obok nie nie mówiły do siebie. Pierwsza odezwała się Helena.

— Awantura! — rzekła, wzruszając silnie ramionami.

Jadwiga zaśmiała się i spojrzała za nią:

— Co znalazłaś nowego?—spytała...

— Zrobiłam odkrycie.

— Ciekawe?

— Na inne nie zwracam uwagi.

— Cóż więc?...

— Ty od tak dawna dajesz lekcje tym chłopcom i nic nie spostrzegłaś... A mnie dość była spojrzeć tylko.

— By zobaczyć?—spytała Jadwiga.

— Że ten Anderek Dudkowski, jak kot w sadle, tak jest zakochany w tobie.

Jadwiga zaśmiała się głośno.

— A ty nie nie wiedziałaś o tem!—wykrzyknęła Helena...

— Nie mówiłam tylko tobie, Helenko!—odpowiedziała Jadwiga.

Helena zatrzymała się i spojrzała na przyjaciółkę.

— El tego już za wiele!... Ty już, Jadwisiu rzeczywiście krzywdę nam wyrządzasz...

Po chwili rzekła z westchnieniem...

— A jednak ty jesteś szczęśliwa... Nie—dodała szybko—ty nią nie jesteś, jabym nią była... Ale kto się zakocha w tym nosie moim do amerykańskiego kartofla podobnym, w tej skórze pergaminowej i łapie niedźwiedziej. A choć tam w piersi niby dobre serce bije—kto w nie spojrzę?... Westchnęła...

— Piękność nie daje szczęścia, Helenko!—rzekła Jadwiga.

— Gdybym była tobą, samabym je wzięła.

— Może wezmę—szepnęła panna Sośnicka.

— Pawła?—spytała Helena.

— Czy ja wiem—Gustawa czy Pawła—oboje—tanie odpowiedziała Jadwiga.

I przed chwilą rozpoczęta rozmowa znowu się przerwała.

— Czy wiesz co?—zaczęła Helena, zazierając przez płot do ogrodu Sośnickich.

Jadwiga słuchała słów dalszych.

— Pan Paweł jest u was!...

Jadwiga się ożywiła, lekki rumieniec na twarz wybiegł, i przyspieszyła kroku.

Helena spojrzała na nią i uśmiechnęła się figlarnie.

Przed domem w ogrodzie stał stół białym obrusem nakryty. Samowar już gadał, Jan-czewska krzątała się, pomagając pani Sośnickiej w przygotowaniu do herbaty. Pan Mateusz rozmawiał z Rzutkiewiczową i pykał fajeczkę, Paweł przechadzał się milczący wzdłuż ogrodowej alei...

Jadwiga powitała Rzutkiewiczową, lecz nie pytała o Pawła, choć udawała, że go nie widzi. Chciała go przywitać uprzejmie lecz obojętnie, tem bardziej, że zauważyła, iż pani Marta na jej wejście traciła lekko Rzutkiewiczową.

Usiadły przy stole.

— Gdzież Marynia?—spytała Sośnicka. Teraz tak rzadko odwiedza ciebie, Jadwisiu,

— Laminuje się—odpowiedziała Helena.

Starsze panie zaśmiały się.

— Masz dziwny sposób wyrażania się, Helenko—zauważyła pani Marta.

— Swój własny—odpowiedziała panna Kamienka.

— Dzień dobry paniom—odezwał się Paweł, podchodząc do pijących herbatę.

Jadwiga powoli obróciła głowę, a Helena zawołała nagle, wyciągając rękę do Pawła:

— Stój pan tak i ani mi się rusz!

Paweł zatrzymał się, zdziwiony okrzykiem Heleny.

Helena przymrużyła oczy, głowę w tył nieco usunęła i przypatrywała się Pawłowi.

— Doskonale pan się odbijasz na tle tych jasno-zielonych krzewów ozłoconych zlekka zachodzącymi promieniami słońca. Szkoda że nie mam farb tutaj i płótna, a zarazbym machnęła pana.

Ogólny śmiech zabrzmiał.

— Pani zawsze zajmujesz się pędzlem?—spytał Paweł.

— Naturalnie! rzadko tylko zdarza mi się znaleźć odpowiedni model, a tak nęcący jak pan w tej chwili!

— Oo!—odezwał się Rzutkiewicz.

— Spójrz, Jadwisiu, jaki ładny teraz jest pan Paweł.

— Pani chce koniecznie wywołać rumieniec na twarz moją—rzekł Rzutkiewicz.

— Uśmiechnij się pan!

Paweł szczerze się zaśmiał...

— Spójrzysz teraz, Jadwisiu!—odezwała się znowu Helena.

— Malujesz dużo?—spytała Jadwiga, nie patrząc na Pawła...

— Dużo, moja kochana, ale choć mam zaciebie Matejkowskie, zdaje mi, że Matejce trudno mi będzie dorównać—odpowiedziała, nie spuszczać oczu z Pawła.

— Niech-że mi już pani pozwoli powitać siebie i pannę Jadwigę—odezwał się Rzutkiewicz.

— Mam już pana w pamięci i—jeżeli mnie nie zawiedzie—posadzę pana dziś jeszcze na płótnie...

Paweł zbliżył się, powitał obie panny, a podając rękę Jadwidze, sposepniał nagle. Na ustach niósł słowa ciepłe, lecz w tej chwili przypomniał rozmowę jaką miał z Sośnickim i uczuł skurec serca, a bladość lekka twarz mu okryła. Miejsce niezajęte było przy Jadwidze, lecz on przy Helenie usiadł i wzrok zatopił w stojącej przed sobą szklance z herbata. Rozmowa się nie wiazała. Pan Mateusz chrząkać zaczął niezadowolony z usposobienia Pawła, obie matki zdziwionymi nieco oczyma patrzyły na dzieci.

Zamyśliła się i Helena—nikt więc nie przerywał milczenia. Tylko drzewa zaczęły szeptać swój pacierz wieczorny, zapachy rozwiniętych bzów i jaśminów unosiły się w powietrzu kryształowem a czerwony promień zachodzącego słońca przedzierał się przez splecione konary wiązków starych i krwawą luną oświecał profile siedzących.—Szmer liści poruszanych przez lekkie tchnienie wieczornych wiatrów nie ustawał na chwilę, tajemniczy a uroczysty szelest słychać było do koła nie przerywany nawet światem wróbbi, które jak kulki szare, obsiadły krzewy pod parkanem rosnące.

— Drzewa się modlą—odezwała się pierwsza Helena.

Paweł podniósł głowę i spotkał się ze spojrzeniem Jadwigi.

— Polu!—odezwała się Rzutkiewiczowa—czas już nam iść do domu.

— Wieczór ciepły—odpowiedział Paweł.

— Ale nie dla ciebie—rosa dziś jest tak obfita, w powietrzu czuć wilgoć, a lekarze przez wzgląd na twoje płuca zranione, wilgotnem zabraniają oddychać powietrzem.

— Nic mi się nie stanie, a gdyby coś się stało, to możebym nie bardzo żałował.

Słowa te wypowiedział bez namysłu, ale boleśnie odczuła je Jadwiga. Spojrzała na Pawła oczyma, w których się przebiegała trwoga i jakiś wyrzut niemy. Spojrzenie to było zbyt wymowne, ażeby go zrozumieć nie mógł Paweł. Podszedł szybko do Jadwigi i podając jej rękę na pożegnanie, szepnął:

— Przepraszam panią.

— Czy pańska rana jeszcze boli?—spytała półgłosem Jadwiga...

— Nie, pani—nie! Moja matka niesłusznie trwoży się o mnie i zbytnią wagę przywiązuje do zdań lekarzy. Zdrow jestem zupełnie.

— Nie gadaj tak, Polu—wtrąciła Rzutkiewiczowa... Coś ci zawadza jeszcze w płucach. Jeżeli nie słuchasz mnie to posłuchaj Jadwisi prośby.—Poproś go pani—zwróciła się do panny Sośnickiej... a będzie jak baranek posłuszny...

— Proszę—szepnęła Jadwiga...

— Będę posłuszny—odpowiedział Paweł.

A pani Rzutkiewiczowa, całując Jadwigę, dodała z uśmiechem:

— To część tylko długu spleconego... Za życie trzeba życie oddać—dodała ciszej.

Mówiąc tak, znaczące spojrzenie zwróciła na panią Sośnicką, która podobnym odpowiedziała jej uśmiechem.—Paweł w przelocie uśmiech ten schwycił i lekko brwi marszcząc, szepnął do siebie:

— Czy i między temi kobietami sojusz został zawarty?

Pożegnali Sośnickich—Paweł dziwnie posępny do domu wrócił.

— Innym byłeś, idąc do państwa Mateuszawstwa, innym jesteś po powrocie od nich—odezwała się Rzutkiewiczowa, patrząc na syna, przechadzającego się w milczeniu wzdłuż i wszerz po pokoju.

Paweł zatrzymał się.

— Smutno mi, matko!—odpowiedział.

— Mówisz o smutku w chwili, gdy powinienś mieć może do radości powodów więcej...

— Dlaczego, matko?

— Szala uczuć Jadwigi zaczyna się ku tobie przechylać.

— Zkąd wiesz o tem, matka?

— Nie zauważyłaś - że nie?

— Widzę wahanie się.

— Szala więc nieprzychylna tobie jest już podważona.

— Być może!

— Zależy teraz od ciebie ostateczne jej przechylenie się na twoją stronę.

— Prawdopodobnie, że tak!

— Z Sośnicką mówiłam długo o tobie—jest ci przyjazna.

— Niemniejszą życzliwością odplaca mi i sam Sośnicki.

— Oboje będą wpływ swój wywierali na Jadwigę, by ją stanowczo skłonić ku tobie.

— To jest, matko, innemi słowami mówiąc, by zapomniła o tamtym, który poświęcił równie jak i ja życie swoje, ale jakaż to szalona różnica między temi dwoma poświęceniami! Urok wspomnień jest wielki, lecz i olbrzymi jest wpływ czasu i ludzi i otoczenia całego. Ja codziennie zbliżyć się mogę do nieszczęśliwej kochanki Gustawa, a pozyskawszy jej przyjaźń, starać się o rozszerzenie tej przyjaźni—a pokazując pierś, w obronie jej, kulą przeszytą, szeptać o wypłacie zaciągniętego bezwiednie przez nią długu — ja szeptem słów miłosnych, mam jak wąż wiskać się w samotne panny Jadwigi serce, wzrokiem swym palić, z każdej chwili słabości korzystać, zacierać wspomnienia, wszelki ślad po nich zwiewać, podsuwać może myśli, że czas i oddalenie zmieniają ludzi, uczucia zmieniają, że tamten, ukochany, pamięci już może nie wart... Al! matko!... i ty i oniżądacie tego odemnie!...

Twarz Pawła płonęła, piersią oddychał ciężko, w której ból uczuć musiał, bo rękę do niej przyłożył, a usta skrzywiły się boleśnie. Rzutkiewiczowa ze zdziwieniem patrzyła na syna, zdawało się, że nie rozumie słów jego, że jakiś szal go opętał i zdrowe pomieszał zmysły. Podniosła się z fotela i zbliżając się do Pawła:

— Czy ty kochasz, Jadwigę?—spytała.

Jakiś śmiech spazmatyczny z piersi jego wypadł.

— Czy kocham?—zawołał.—I tobie nic dotąd o tem nie powiedziałem?

Rzutkiewiczowa zaczęła uspokajać syna.

— Ty mnie nie zrozumiałeś, Polu!—mówiłam to dla twojego i jej szczęścia... Ty pana Gustawa nie znałeś, kochałeś tylko Jadwigę. Każdy przecie ma prawo starać się o względy kobiety, którą całem ukochał sercem; podbijając ją, zniewalać...

— Nie w tych tylko warunkach, matko!

— Mówiłeś Jadwidze, że ją kochasz?

— Nic nie wiem, nic nie pamiętam. A jeżeli mówić mogą wzrok, uścisk ręki, ta rana zresztą zgojona tak niedawno, to—mówiłem!

— A ona?...

— Tego już ci nie powiem, matko! to już będzie tajemnicą mojego domysłu.

— Odrzucasz szczęście.

— Szczęście!

— Pomyśl, że ona może być towarzyszką twojego życia, echem serca twojego, matką twych dzieci

— Myslę. — I widzę, jak ona, piękna cudownie piękna na pierś się moją chyli, przedstawiam czar jej pocałunków, słodczych pieśczoł. I oto nagle, gdy ramiona ramion szukają, usta ust... ktoś w szybę uderza raz i drugi, jak wtedy... Pamiętasz tę opowieść Sośnickich? I w drzwiach na pół otwartych staje Gustawa cień, dopominający się o własność swoją. Pomyśl—o, matko!...

— Dzieciństwo, mój synu!...

Nie skończyła słów pani Rzutkiewiczowa, gdy dało się słyszeć lekkie bardzo, trzykrotne stuknięcie w szyby, jakby odpowiedź na słowo Pawła... Paweł drgnął—wzdrygnęła się i Rzutkiewiczowa lecz rzekła spokojnie:

— Wiatr musiał trącić gałązką drzewa o szyby

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Dla dobra ogółu. komedia w 5-ciu aktach, Juljana Wieniawskiego (Jordana).

Niejednokrotnie, gdy przychodziło nam mówić o naszym Teatrze, w którym, swojego czasu, cały niemal repertuar sztuk nowych ściągany był z zagranicy—wypowiadaliśmy zdanie, że—jakkolwiek przed mądrością mistrzów na obcym gruncie zrodzonych, głowę chyliny, nie brak jednak i u nas geniuszu swojskiego, który na wszystkich polach działalności twórczej, przejawiać się potrafi i w rzeczywistości przejawia się.

Jak wysoko stanęło malarstwo u nas w drugiej połowie bieżącego wieku, wspominać nie potrzebujemy; w powieściopisarstwie, po dzień dzisiejszy, przyswiecają nam gwiazdy pierwszorzędnej wielkości, szczerzoty blask swój daleko rzucając poza granice kraju; twórczość poeticka, po chwilowem osłabieniu wzmagą się, największe narzekanie słyszymy na brak talentów dramatycznych, a skoro tylko wspomniano o dramacie lub tragedii, rozkazywano nam zawsze na Szekspira patrzeć, gdy o komedii mówiono—łowiono zaraz za polę starego Fredrę, a częściej jeszcze uśmiechano się w stronę Sardou i Scribego. W ten sposób, przez długi przeciąg czasu, Teatr nasz nosił tylko pustą nazwę Teatru polskiego, z pewnem podejrzeniem patrzano na sztuki swojskie, choć tacy Blażynscy, Zalewscy, Lubowscy i Przybyłscy nie na obcej urodzili się ziemi, nie obcem oddychali powietrzem, i nie są mniej warci od nadsekwańskich mistrzów. My zaś zawsze z większą chęcią na scenie naszej witaliśmy nazwiska swojskie niż obce i radzi jesteśmy, że coraz więcej tej swojskości pojawia się u nas; radzi jesteśmy, że import zagraniczny zmniejsza się i zmniejszy w znacznej mierze, i że nie tak bardzo potrzebujemy po cudze skarby sięgać, które—Bogiem a prawdą—nie zawierają znów w sobie tylko czystej wody brylantów.—Inaczej śpiewa nasz szary wróbel niż kawka zamorska, nie potrzebujemy też humoru lekkomyślnego francuza, mając nasz rodowity humor.

Komedia Wieniawskiego podobała się publiczności. Jakies tchnienie lepsze, powiało od ścian szlacheckiego dworu, gdzie przy ognisku domowym skupiła się rodzina Prackich złożona z osób czterech: ojca, matki, syna i córki, narzeczonej p. Karola. Stary Pracki, to typ dawnego

szlachcica, gotowego na usługi sąsiadom. Mniejsza, że się trochę u siebie z robocizną w polu opóźni, posyła plugów parę na pole sąsiada, ażeby mu dopomógł w przygotowaniu w czas roli na posiew; tam jakiś spór wypadł, Pracki musi przyjąć rolę rozjemcy, a że znany z uczciwości i bezstronności sądów, polegają na jego zdaniu panowie bracie zwaśnieni, słowem, stary Pracki pracuje rzeczywiście dla dobra ogółu z zaparciem się nieraz potrzeb własnych. Wyłącza ojca w gospodarstwie Bolesław, niedawny student uniwersytetu, matematyk z zawodu, nieobca mu jest jednak i ekonomia polityczna i teoria finansów boć za rozprawę o monometalizmie otrzymał medal złoty.

Córka Prackich jest chrześną córką księżnej Radosławowej której zawdzięcza Pracki utrzymanie się przy wiosce rodzinnej. Księżna pożyczyla mu niegdyś 30,000 rs. o które, upominać się nie miała zamiaru. Lecz oto dobra panią zła śmierć zabrała, syn zaś jej, młody książę Radosław, wypowiedział Prackiemu sumę. W rodzinie trwoga—Pracka radzi mężowi, ażeby wspomniał księciu o woli nieboszczki, ale hardy szlachcice tego uczynić nie chce, sumę zwróci, choćby się miał ukochanej wsi pozbyć. Lecz oto w pomoc upadającym ziemianom ma przyjść projekt Slizgalskiego.

Slizgalski był niegdyś właścicielem ziemskim, lecz straciwszy fortunę, puścił się na chleb lekkiej, a znalazłszy się na bruku miejskim, patrzył tylko, gdzie dym z komina widać było, stał się posługaczem plutokratów, zamiataczem cudzych kątów, gotowym w bloku po uszy się zababrać, byleby mu tylko dobrze było. Wygadany, mający głowę pełną projektów, gradem słów oszołomia szlachtę, wykazując jej korzyści z nowo-powstającego banku, mającego na celu rolników tylko interesa, ale dla zbudzenia ufności w braci, potrzeba kilku znanych, a uczciwych firm ziemiańskich. „Dobro ogółu“ nie schodzi z ust pieczeniara, który ciągnie wodę na młyn Portweinów i Klugierów. Dyrektorem banku ma być Bolesław—to firma, książę Radosław wchodzi w skład rady nadzorczej—to także firma, przeczucie niewiast tylko powstrzymuje od czynnego udziału starego Prackiego, i Karola, lecz Bolesław, po pewnem wahaniu się, przyjmuje urząd dyrektora, jako dający mu sposób przybycia z pomocą rodzinie upadającej.

Przenosimy się do miasta i poznajemy tutaj wyborne typy: p. Portweina, cynika, drwiącego z uczciwości, rozumiejącego potęgę pieniądza, który zmusza do ukłoniów umiitrzone nawet głowy. Portwein nie pnie się do arystokracji, nie imponuje mu ona w niczem. Typ to zupełnie nowy, doskonale przez autora pojęty, doskonale przez Wojdałowicza odegrany. Klugier ma córkę, piękną Klotyldę. Za pomocą jej małżeństwa z Portweinem pragnąłby swoje krocie z jego milionami połączyć, ale Klotyldę idealniejszy świat nęci, pokochała zresztą Bolesława, który jej wzajemnością odplaca—i wbrew woli ojca garnie się jawnie do piersi ukochanego. Tymczasem książę poczuł grzeszną inklinację do Anny. Ażeby ją do miasta sprowadzić, namawia Karola, by wstąpił do zarządu rady, obiecuje też staremu Prackiemu załatwienie na dobrych warunkach pożyczki w banku, na co Bolesław, jako tego banku dyrektor, zgodzić się nie chce.—Ale rada przyznaje pożyczkę, Bolesław zgadza się wreszcie, żąda zaciągnięcia postanowień rady do protokołu, czego jednak nie wypełniają. Karolostwo zamieszkuje w mieście, książę umizga się do Anny, która odrzuciła wyznania jego miłosne, lecz gdy raz, podczas słoty, przyjmuje karetę księcia—zostaje natarczywie nagabana przez niego;—wraca z pośpiechem do domu, goniona przez Radosława, zastają tam Bolesława, który staje w obronie honoru siostry i wyzywa księcia na pojedynek. Nikczemnik wyzwania nie przyjmuje—bo na Bolesławie jest plama.

Jaka?

Plama rzucona przez Klugiera, pragnącego rozłączyć go z Klotyldą. Rada przyznała pożyczkę Prackiemu, Bolesław wydanie summy podpisał, lecz postanowienia rady do protokołu

nie wciągnięto. Dyrektor więc rzekomo nadużył praw swoich—musi pójść pod sąd. Oczywiście, że Klugier i książę wypierają się wszelkiego w tej sprawie udziału. Przepysny tu jest Slizgalski, który na wiarę słów Klugiera potępia dyrektora i wpada w ferwor deklamacyjny o niegodziwości postępku, nie wiedząc sam jeszcze o co idzie.—Szczęściem, że Klotylda znajduje między papierami ojca list księcia dotyczący postanowienia rady—i to ratuje Bolesława. Klotylda opuszcza ojca, bierze ślub z Bolesławem, a biedny Karol, podejrzewając niewinną żonę o wiarołomstwo, zostawia list do niej rozpaczliwy i wyjeżdża za granicę, by nigdy już nie powrócić.

Z oczyszczonym od zarzutu przestępstwa Bolesławem, książę pojedykuje się. Ma pierwszy strzał, lecz strzela w górę i przyznaje się do niecných postępków, jako też stwierdza niewinność Anny. Jedzie do Rzymu, by znaleźć Karola; tam już o wszystkim Karol jest uprzedzony, przez księdza Pawła, któremu na spowiedzi przyznał się Radosław, że Anna jest niewinna. Karol wraca do rodziny, wszystko się naprawia, nawet stęskniony za Klotyldą Klugier posyła jej gotówkę 50,000 rs. przez Slizgalskiego, który jest pilnowany przez woźnego z banku, by czasem nie ułapił coś z powierzonego mu grosza. Wyplaciwszy pieniądze, Slizgalski wyjeżdża z nowym projektem, ale go już nikt nie słucha.—Kortyna zapada wśród głośniego śmiechu widzów i trzykrotnego wywoływania autora i aktorów.

Zamąło mamy miejsca do szczegółowego rozbioru omawianej komedii. Usterki pokrywa humor szczery, niewyraźna psychologicznie postać księcia Radosława, okupują inne dobrze odrysowane postacie, na które jest zwróconą uwaga widza. — Radosław jest stanowczo niewyraźny. Zepsuty do gruntu, napastający brutalnie niechętną sobie kobietę, zmienia się nagle, jak kameleon, na nabożnisia. Podczas pojedynku, przyznaje się szlachetnie do winy, spowiada się u księdza Pawła, co wszystko być może, ale nam autor nie pokazał faz przez które przechodziła dusza księcia. Zapomniał też autor o jednej rzeczy, że tajemnicy spowiedzi ksiądz nie zdradzi, bo zdradzić nie ma prawa. A jednak to tylko zdradzenie spowiedzi księcia przez kapłana mogło przekonać Karola o niewinności żony. Tego wymagała sztuka—lecz prawda ucierpiała na tem. Dla rozśmieszenia też widzów Klugier przez takiego Slizgalskiego przesyła pieniądze w gotówce, zamiast imienny czek do banku. Mógł to zresztą przez woźnego uczynić—lecz śmiechu by nie było.

Mimo to wszystko komedia Jordana ma dużo stron dodatnich i jest dobrym nabytkiem naszego teatru. Wolę ją, niż Marcelle Sardou, niż Ucieczkę Brioux, niż tyle innych sztuk nie naszych. P. Frenkiel w Slizgalskim był niezrównanym. Stworzył on typ nowy. Już to p. Frenkiel jest mistrzem, dajcie mu tylko pole do popisu. Inni artyści wywiązali się też doskonale z zadania.

Kazimierz Gliniński.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Podole, równie jak stepy Ukrainy, znalazło też swego śpiewaka, a był nim Maurycy Gosławski. Powietrze ziemi rodzinnej powiało na te-

go poetę dumką rzewną, a na skrzydłach tej dumki poleciały w świat podania ludu ruskiego, jego pieśni i wierzenia. Gosławski tak ukochał swój zakątek rodzinny, że zdaje się nie poza nim nie chce widzieć. Tam „tchnieniem przeszłości, czuł, dumał i nucił.“ Tam wyrosło w jego sercu ukochanie natury i ukochanie kobiety. To też miłym mu jest świat:

„Jako myśl o Podolance,
„Jak podolskiej niwy kwiat.“

To też, dusza jego zbliżka, czy zdaleka wyrwa się ku tej ziemi, która była dlań kolebką życia, uczuć i natchnień. Z ust poety wybiegła ku niej piosnka, pełna zapału i tęsknoty, którą długo całe Podole nuciło:

„Gdyby orłem być!
„Lot sokoła mieć!
„Lotem orlim i sokolim
„Unosić się nad Podolem,
„Tamtem życiem żyć.“

Wyobraźnia poety ogląda na niebie ziemi rodzinnej więcej chmur, niż pogody i światła. Burze dumkę tęskną mu śpiewają. Na chwilę niebo się rozjaśni, lecz wnet ciemność zalega na nowo. Z duszy poety ona płynie, z duszy, która kocha i cierpi w żalu i tęsknocie. Wiatr ziemi rodzinnej był mu bratem; gdy go porzucił, poeta płacze:

„I jak szeroki dzisiaj świat,
„Pusto przedemną wszędy i wzdłuż,
„Bo znikł przewodnik, wietrzyk brat,
„Bo moja radość znikła już.“

Pieśń Gosławskiego dała przyrodzie daleko mniej, niż lira śpiewaków ukraińskich, dała zaledwie kilka tonów rzewnych, buńczucznych i tklivych zarazem, niekiedy szorstkich, ostrych w dźwięku słowa i rytmu, mało obrazowości, oto wszystko. Dała jej atoli jeden klejnot cenny, dała jej—miłość. W tej miłości zrozumieli go i odczuli swoi; w sercach ich piosnka poety kwieciem żywym wyrosła.

* * *

Olbrzymia, drogocenna bryła poezji romantycznej naszej rozbiła się na drobne, ale uroczo lśniące kamyczki. Muszę przedewszystkiem zatrzymać się choć na chwilę przed piewą, który dał przyrodzie rodzinnej takie bogactwa życia, jakie u niewielu poetów znajdujemy. Mówię tu o twórcy „Pieśni o ziemi“ i „Obrazów natury“, o Wincentym Polu. Śpiewak ten przyłożył do łona przyrody to same ucho serca, którem wsluchiwał się w jej tętna Mickiewicz w „Panu Tadeuszu.“ I usłyszał wszystkie jej głosy, znajome, swojskie, ukochane. Pieśń Pola związała żywą nicią serca dolę ludzką z życiem przyrody. A przyroda ta wciąż zmienia swe oblicze, przyoblekając barwy odpowiednie tej lub innej okolicy kraju i żyjącemu wśród niej ludowi. Zdaje się, jakby poeta słyszał bicie jednego serca, drgającego w naturze i w ludziach, którym ona jest matką. Więc w jednej z okolic kraju:

„Niby w ciężkiem zadumaniu,
„O przyszłości, czy kochaniu,
„Stoją niemo czarne puszcze,
„I rozlały się jeziora...
„A po toniach ryba pluszcze,
„A na niebie stoi góra:
„Puszcze płoną gdzieś zdaleka,
„A w zaścianku pies gdzieś szczeka.“

I oto zaraz występuje bratnia tej przyrodzie sercem, nastrojem duszy, charakterem i temperamentem postać człowiecza:

„A za głosem z tokowiska
„Czesze gęstwą leśnik śmiały,
„Przez jelniki i zawały,
„Do rodziny i ogniska.
„Stanął, słucha—tam dzik ryje.“

A oto charakterystyka tego człowieka z naturą głęboką, skrytą, a czujną, jak puszcza leśna i jej mieszkańcy:

„Lud nie darmo to myśliwy,
„I skąpany w jezior łonie!
„Bo głęboki, jak wód tonie,
„A jak łono puszczy, stróżliwy.“

Lud to z duszą twardą, zahartowaną, cichą, a głęboką, rozważną i stanowczą:

„Lud to cichy, rzewny, skryty,
„Jako mówią: kuty, bity.
„Kiedy szczery, jak wosk topnie;
„Ale, gdy go kto zahaczy,
„To i w grobie nie przebaczy,
„A na końcu swego dopnie!“

W innym znowu miejscu rozłożyła się kraina żyzna, szeroka, otwarta, gdzie wzrok duszy ludzkiej nie zamyka się w puszczy ciemnej, a rozszerza na widnokrąg rozległy. Śród tej krainy żyje lud ochoczy, wesoły, gościnnie i lekkomyślny, a serce tego ludu skacze radośnie w takt mazura:

„To też ludzie tam najszczerli!
„Tam to polski świat ochoczy,
„Serce chłopcom ledwie z piersi,
„A krew z lica nie wyskoczy.
„Tam to dziewcząt śliczne oczy!
„Do taneczka tylko śpiewki,
„Stare baby wygadane,
„A wesołe i rumiane
„U matusi rosną dziewczki.
„Kędy wzgórek, to i dworek,
„Kędy wioska, tam i woda,
„Kował pijak i gospoda.“

I tak dalej—każda okolica ma swój wyraz osobny, wyraz bratni z obliczem duchowem żyjącego śród niej człowieka, wyraz dziwnie szczery i swojski. To też popłynęła ta pieśń poety szerokim strumieniem po niwach ziemi i po sercach naszych.

Pol odczuwa i widzi przyrodę sercem, wiarą i wyobraźnią ludu, wsłuchał się w jej gwary uchem człowieka z naturą pierwotną. Gdy pobiegł śladem Goszczyńskiego na wyżyny Tatr, nie ujrzał z nich ogromu nieskończoności, nie zadumał się nad nią myślą filozofa, lecz pobiegł myślą i sercem za jasną chmureczką w orle dziedzinie i potrafił o niebo, „gdzie z aniołami sam Pan Bóg mieszka.“ A Bóg ten, jest „Bogiem ojców“, który żyje na niebie i „w przestworzu.“ Słyszy wprawdzie wielkie słowa, ale słowami temi są tylko słowa biblijnego stworzenia. Żywiej odczuwa głos ludu—głos juhasów, którzy „wyrządzają dziewczętom psoty“, dźwięki łobzy i szum lasu. Z większym zapamiętaniem spogląda na zielone równiny ziemi ojczystej, niż w wyż, z kąd płynie zagadka wszechbytu.

Poeta najswobodniej przemawia tonem pieśni ludowej. Prześliczną jest naprzykład, jego piosenka o skowronku, śpiewaku „Matki Boskiej“, który, nucąc pod niebiosami, prosi w swym pacierzu zwyczajnym „o szczęście wioski.“

Inaczej śpiewa, lecz równie miłuje swoją ziemię rodzinną, inny poeta nasz—Ludwik Kondratowicz (Syrokomla). Ukochawszy szarą dolę gminu wiejskiego i mało-szlacheckiego, ukochał wraz z nim i przyrodę, śród której gmin ten żyje, i malowniczo, a serdecznie ją odtwarza. Wskazuje bratu swemu, co ma ukochać w naturze i w ludziach:

„To twej chaty ściany,
„To dach twój stary, słomą pokrywany,
„To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
„Z rzeczki twej woda, co cię trzeźwi w lecie,
„To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,
„To twoje niebo—najpiękniejsze w świecie,
„Smak twego jabłka, cień twojej jabłoni,
„To dzwon kościelny, co ci na mszę dzwoni...
„To twego ojca osiwiła broda...“

Wszystko to poeta każe ukochać „cząstkami i pospołu razem“, każe ukochać byt codzienny i najwyklejszą powszedniość natury dlatego, że jest bliską ciału i duszy naszej, bliską życiu naszemu. Sam tak zżył się z tą przyrodą, że powiada:

„Tameczne łąki znam po aromacie,
„Wodę tameczną po smaku odgadnę,
„Innego ptactwa śpiew mnie nie omami,
„Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa
„I wiatr tameczny rozpoznam płucami.

„Chlebie, po twoim smaku i zapachu,
„Czuję z nad Niemna polankę borową,
„Widzę kaplicę o słomianym dachu,
„Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową.“

Przyroda ziemi rodzinnej jest dla poety zdrowiem duszy, wołałby stapać po niej „obdarty i bosy“, niż żyć szczęśliwie w najpiękniejszej, lecz obcej krainie.

Niekiedy proste uczucie wraz z wiarą ludu z pieśni poety przemawia, a wtedy nad grobem dwóch kochających się istot wyrastają jawor i brzoza i tulą się do siebie w pieszczocie, w której tkwi symbol miłości pozaziemskiej.

Gdzieindziej znowu przyroda mówi ustami serca ludzkiego. Biała brzoza żali się, że zima sroga z liści ją odarła i zamroziła sok w jej rdzeniu, że na jej gałązkach „lód kropliste zakul deszcze.“

Piosenki serdeczne pobiegły z ust poety, „wiatrem rozwiane“, i obleciały kraj „lotem jaśkółki“, tuląc się pod strzechy prostaczków. Koloryt ich zazwyczaj jasny, pogodny, ton niekiedy żallosny, jak skarga biedaka, niekiedy wesoły, jak pieśń skowronka, która z brzaskiem dnia raduje ludzi. Wówczas też dzwoni nam w uszach piosenka wiosenna.

„Och! na gody do swobody
„Bóg przyrodę budzi!“

Poeta chwyta z natury cechy jej rzeczywiste, obrazy prawdziwe, głosy naturalne, proste i szczere, chwyta najzdrowszy jej oddech. To też z pieśni jego płyną wonie drzew rodzinnych, z pól dolatują gwary życia znanego, swojskiego. W lirę jego „z czarodziejskiego drewna“ przyroda zaklęła siły swe pierwotne.

Słusznie przedwczesną mogiłę tego poety uczcił inny piewca, Teofil Lenartowicz, słowami, które z pól rodzinnych powiały:

„Spoczywaj, lirniku, a zioła nadgrobne
„Niech szemrzą nad tobą, jak struny żałobne,
„Owiane powiewem ojczystej dąbrowy —
„Spoczywaj, lirniku, nasz bracie wioskowy!“

Duszę ludu, serce ludu, pieśń ludu, wiarę ludu, a zarazem przyrodę, śród której lud żyje, wzrok ducha, którym na nią spogląda, wysnuł z głębi własnej nasz lirnik mazowiecki, Teofil Lenartowicz. W piersi tego poety biło to samo serce, co pod sukmaną chłopską; oczyma ludu w pieśni swojej na świat cały, a więc i na przyrodę spoglądał. I popłynęła piosenka ludowa po niwach ziemi naszej, gdzie:

„Bławatki, kaskole zbiegały od słońca,
„Gdzieindziej się tylko niebieszcza;
„A polne koniki tam w zbożu bez końca,
„Zwyczajną piosenkę szeleszcza.
„Mawienka przepiórka już woła z pod prosa:
„Pójdźcie żać! pójdźcie żać, co żywiej,
„Bo, jeśli w pogodę nie puści się kosa,
„To potem się słota sprzeciwi.“

Przyroda w piersi Lenartowicza—to matka doli kmieci, to karmicielka ludu, to warsztat jego pracy. Widzi on ją wszędzie, gdzie tylko spojrzy, widzi nawet okiem ducha, okiem wiary w tej krainie, która ma być mu ojczyzną przyszłą. Tam Jezus, jak nasz pasterz wiejski, pasie owieczki na łące; tam Święci Pańscy gwarzą w cieniu jabłoni, a z nich „Święty Mikołaj, staruszek siwy.“

„O ludzką nędzę wielce troskliwy,
„Co ma w opiece nasze bydła,
„O każdej wiejskiej krówce pamięta;
„Wraca do trzody, zbłąkaną z boru,
„Chroni od wilka i od pomoru,
„Wsparty na krzywym kiju pastucha,
„Pod gałęziami siedzi i słucha.
„Łagodny wietrzyk rajskiej dąbrowy
„Rozwiał mu brodę na dwie połowy,
„A wonne zioła perłową rosę
„Strzęsły dziadkowi na nogi bosc.“

Poeta w odtworzeniu obrazów przyrody dobiera barw najjaśniejszych i najprostszych. Nokoło rozbrzmiewa pieśń radosna, pieśń zachwytu naiwnego, dziecięcego. Ptaszka śpiewają wesoło, pszczołka brzęczy, słonko uśmiecha się i ciepłem otula. Pastuszek przygrywa na fujarce. Dzwonek z kościółka wiejskiego do modlitwy wzywa—Oto wizerunki i odgłosy natury wiejskiej, pospolitej, na którą codziennie oko wieśniaka spogląda. Poeta rzucił na nią ze swej duszy jasnej całą smugę światła i ciepła, bo była mu ona najmiłszą, najdroższą, choć nie miała takiego majestatu piękna, jaki gdzieindziej ogłądał. Nawet gdy opiewa naturę obcą: jasne niebo Italii i jej góry wyniosłe, wpada mimowoli w ton piosenki swojskiej i swojskich dopatruje obrazów.

Wszyscy tedy trzej przytoczeni wyżej śpiewacy: Pol, Kondratowicz i Lenartowicz spoglądali na przyrodę okiem serca i tej wyobraźni, która chwyta zjawiska najpospolitsze, te, z którymi się dusza od dzieciństwa zrosła, a w które ukochanie serdeczne wlało czar poezji. Po za tę zewnętrzną powłokę zjawisk dusze poetów nie sięgają. Zdrowy oddech przyrody swojskiej w krew ich wchodzi i wypływa z piersi śpiewem ptasząt leśnych, szumem gajów, szmerem wietrzyka, świeżością poranka, promykem słońka, ciszą zachodu.

W poezji Kornela Ujejskiego przyroda obleka się w obrazy o konturach wyraźnych, choć lekko zaznaczonych. Bądzkiewicz trafnie porównywa pióro tego poety do ołówka Grotgiera. W wyrazistości szkiców oglądamy wizerunki, z których przemawia potęgą uczucia wzniesłego i głębokiego, niekiedy serdecznie rzewnego. Wskazuje nam poeta „kraj szeroki“, „jak zastawiony dla gości stół“, wskazuje „senne wierzby nad wodą“, „wrzosa rosiste“, „różnowzory kobierce“ pól, wreszcie „łańcuch gór śnieżnych“, który „wystąpił wprzód“, „jak siwy gazda z otwartym sercem.“

Poeta wlewa nastrój uczuć serdecznych, a głębokich w malowidła przyrody, kreśląc, naprzykład, tak urocze obrazy:

„Ach! jasno, zielono, a wieczór tak cichy,
„Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
„I perłą się rosy świecące;
„Tam wiejskie pachole pofleca z pagórka,
„Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
„Tam skrzypią chruściele na łące,
„Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
„I szemrze maćcona rzeczulka,
„I wstają mgły białe nad senną wioszczyną,
„I ozwał się dzwonek z kościółka.
„Anioł Pański!...“

I tu więc ukochanie natury rodzinnej w najsilniejszy ton twórczy uderza. Mniej słyszmy dźwięków ludowych, więcej tonów artystycznych; w pieśni drga nie naiwne uczucie człowieka pierwotnego, dziecięcia ludu, a głębsze wrażenie poety, który umiał wznosić się w wyższe dziedziiny ducha i z tamąd na niziny ziemi spoglądać.

(Dalszy ciąg nastąpi),

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Zacząłem przemyślać o tem, ale tymczasem zaczęto powstawać od stołu, a że mężczyźni przy kawie i likierach jeszcze palili cygara, papierosy i fajeczki (damy nie miały nic przeciwko temu), więc wyjście na pokład, na świeże powietrze, wobec zadymionej sali jadalnej, tem więcej przedstawiało uroku. Jakoż opuściliśmy kajutę, (gdzie zaraz służba, pootwierawszy wszystkie okna, zaczęła sprzątać ze stołu), a owiani orzeźwiającym powiewem morskim, który „pysnie robił“ po obfitem i prawdziwylukullusowem śniadaniu, wszyscy—sądząc z zadowolonych wyrazów twarzy—byliśmy gotowi wykrzyknąć z Schillerowskim Markizem Pozą: „*Das Leben ist doch schön!*“ Całe towarzystwo, rozproszywszy się po słonecznym pokładzie, robiło wrażenie owej izby francuskiej z czasów Ludwika Filipa, złożonej z samych „zadowolonych“, a jeśli nie wszyscy zgodzili by się może na optymistyczny wykrzyk Pozy, to jednak każdy musiał przyznać, że jeśli nie życie, to przynajmniej morze, w taki piękny dzień słoneczny, *ist doch schön*.

Bo nie piękniejszego, jak morze tego dnia! Była to prawdziwa „Kraina słońca i błękitu“, którą w tej chwili płynął nasz okręt. Pod nami ciągnęła się niezmierna roztoz ciemnego błękitu, gęsto nabijana migotliwem światłem słonecznem, które się mieniło na drobnych falach, niby srebrne łuski, a nad nami rozciągał się turkusowy beżmiar nieba, na którym ogromne słońce, jeszcze świecące z wysoka, było jedynem niebłękitnem miejscem. Powietrze, kryształowo przezroczyste, było pełne blasku i jakiegoś balsamicznego ciepła, a oddychać tem powietrzem, chłodzonym łagodnym powiewem, stawało się prawdziwą rozkoszą i błogością. Po prawej stronie, na widnokręgu, pomiędzy niebem a morzem, podobne do złotawej przepaski, prostej u dołu, a nierównej u góry, majaczyły skaliste wybrzeża Afryki. Tymczasem okręt szybko posuwał się naprzód, a za nim, w tyle, ciągnął się długi gościniec spienionej wody, śnieżno-biały przy samym okręcie, a blade - niebieski w głębi.

Tak upłynęła z godzina, podczas której każdy zabawiał się jak mógł, a znaleźli się i tacy, co „upojeni słońcem i błękitem“, drzemali w niskich fotelach. Byli i tacy, jak np. ojciec moich panienek, którzy poszli spać do kajuty, ale nie brakło i takich, co nie tracili czasu, a także „upojeni słońcem i błękitem“ oraz czarną kawą i *chartreuse'a*, składali hojne ofiary na ukwieconym ołtarzu owego płochego bożka flirtu, o którym tyle mówiło się przy stole. Patrząc np. na panią Stone, jak, siedząc w cieniu opuszczonego żaglu, słuchała tego, co jej mówił nasz kędzierzawy Francuz, miało się wrażenie, że to owa Wenus z nowelli, przebrana za powabną, 37-letnią *lady*, korzystając z tego, że Wulkan poszedł na poobiednią drzemkę, „skraca sobie czas“ z dobrego zakonserwowanym *causeur'em* z jakiejś Dumasowskiej *pièce à thèse*. Z której? Patrząc na wielbieliel pani Stone, mimowoli myślałem o *Przyjacieliu kobiet*, który jest przecież jedną z najlepszych komedii autora *Cudzoziemki*. Co pewna, to to, że ta „cudzoziemka“ ogromnie zdawała się podobać temu „przyjacielowi kobiet!“ *Honny soit qui mal y pense*.

Tymczasem myśl moja, chwilowo zajęta wspomnieniami mitologii i Dumasowskich komedii, zwróciła się w inną stronę: oto ujrzałem mnóstwo ogromnych ryb, które, wyrzucając się z wody, całą ławą otoczyły nasz okręt, zdążając za nim, jakby się z nim ścigając. Był to widok nowy zupełnie jak dla mnie, a zagadkowy o tyle, że nie wiedziałem, co to były za ryby. Okaza-

ło się, że były to rekiny, których—jak mię zapewnił nasz dziobaty doktor okrętowy—mnóstwo jest w tych stronach; to zaś, że się tak wyrzucają nad powierzchnią morską, jest wróżbą pięknej pogody. Nie upłynęło pięć minut, a już na całym pokładzie nie mówiono o czem innem, tylko o rekinach; wszyscy, przypatrując się im z zajęciem, skupili się przy burcie (za czem poszło z natury sytuacji, że niektóre pary przestały na chwilę *badiner avec l'amour*), a kiedy ktoś wpadł na pomysł, ażeby rzucić kilka bułek, co z pewnością spodoba się rekinom, jeżeli nie wszystkim, to niektórym przynajmniej, zaraz znaleźli się tacy, którzy „całą depu acyą“ zbiegli do kajuty, do gospodarza, z prośbą o bułki, i chleb, choćby czerstwe. Po chwili, kiedy „deputowani“ wrócili z pełnemi kieszeniami bułek niedojedzonych kromek chleba, etc. zaczęło się ku ogólnej uciecie „karmienie rekinów.“ Mniej-sze lub większe kawałki bułek, rzucane drobnemi rączkami dam, poczęły śmigać w powietrzu, a wpadłszy do wody, bardzo niedługo pływały po ciemnej powierzchni: zaraz się zjawiał rekin, w którego paszczy znikwały w mgnieniu oku. Ale koniec tej zabawy, tak pożądanej dla rekinów, a tak bawiącej naszą próżniaczą drużynę, miał być tragiczny. Bo ktoś mógł przewidzieć, że ta niewinna rozrywka, że to wesołe *intermezzo*, tak urozmaicające jednostajność podróży, zakończy się śmiercią. A jednak zakończyło się śmiercią... Rzecz miała się tak. „Kiedy się wyczerpał zapas bułek i chleba, a rekiny wciąż płynęły równo z naszym okrętem, a nawet płynęły w znacznie zwiększonej liczbie, jeden z panów—jeden z owej hultajskiej czwórki francuskiej—zaczął żałować, że zapomniał swego rewolweru, z którego by teraz z prawdziwą przyjemnością strzelił kilka razy. „Aż ręka świerzbi, mówił, gdy się patrzy na te potwory, z których jednego przynajmniej chciałoby się widzieć płynącego do góry brzuchem.“ Choć to było zachęcenie barbarzyńskie, stwierdzające, że nawet w człowieku cywilizowanym siedzi kawałek dzikiego zwierzęcia, pożądającego krwi i śmierci stworzeń słabszych i bezbronnych, to jednak wszyscy wyrazili ubolewanie, że nie można strzelać do tych rekinów. Widząc, że nawet i kobiety chętnie widziałyby takie strzelanie, wyraziłem gotowość zadosyć uczynienia temu grzesznemu, a powszechnemu zachęceniu: rewolwer miałem w walizce.

Wystarczyło, żebym napomknął o tem, a odrazu posypały się prośby i nalegania, ażeby strzelił kilka razy, a może mi się uda zabić jakiego rekina. Za dwie minuty wróciłem z rewolwerem i pudełkiem ładunków, a w ciągu trzeciej minuty, zaraz po drugim wystrzale, jeden z rekinów, raniony śmiertelnie, począł się ciskać konwulsyjnie, zanurzać, znowu wypływać, aż w końcu ujrzelismy jego biały brzuch... W tejże chwili usłyszałem oklaski, któremi winoszowano mi celnego strzału. Skłoniłem się wszystkim, z takim uczuciem zadowolenia, jakbym był Wilhelmem Tellem, któremu się udało zestrzelić jabłko z głowy swego jedynaka, i już odwróciłem kurek, ażeby jeszcze raz popisać się celnością w strzelaniu, (bo oklaski, zwłaszcza, gdy się na nie składają takie śliczne rączki, jak rączki młodszej panny Stone, pobudzają artystę do ponownego popisania się swoją sztuką, choćby tą sztuką było strzelanie do rekinów), gdy nagle podszedł do mnie kapitan Marinelli, z uprzejmą prośbą na ustach, prośbą jednak, która się równała rozkazowi, ażebym zaniechał dalszego strzelania.

„W ogóle, mówił, nie wolno strzelać na okręcie, coż dopiero, kiedy się na nim znajduje dwustu arabów. Nawet sobie nie wyobrażacie państwo, jak tych ludzi podnieca huk wystrzałów. Ostatecznie są to dzieci ludzkie, *notabene* nienawidzący nas, Europejczyków, którzy według nich jesteśmy ich ciemniejszymi. Dlatego nie należy wywoływać wilka z lasu. Ostatecznie jest nas, wraz z całą załogą okrętową, około 50 osób. Tymczasem Arabów jest dwustu. A nużby im przyszła fantazya wyzyskać tę swoją przewagę. Nie należy zapominać, że wszyscy mają jakąś broń przy sobie, i że

zdarzały się wypadki, iż ci „wolni Beduini“ rzucali się na załogę okrętu... Pojmuję pan, że wobec tego...“ „Pojmuję“, odrzekłem, chowając rewolwer do kieszeni. Tymczasem na morzu, dokoła owego zabitego rekina, który już został dość daleko w tyle za nami, odbywała się uczta, prawdziwa stypa: inne rekiny, spostrzegłszy trupa pomiędzy sobą, w tejże chwili rzuciły się na niego; zaczęło się pożeranie towarzysza, który już przestał być ich towarzyszem, a zaczął być smakowitym kąskiem. Na nieszczęście okręt płynął tak szybko, żeśmy nie mogli obserwować tej oryginalnej uczty, zmuszeni poprzestać na zapewnieniu kapitana, że za kwadrans będzie ów rekin już oskubany z mięsa... Niech żyje walka o byt!

O godzinie 3-ej po południu zarzuciliśmy kotwicę w Nemours, o jakie 1½ kilometra od brzegu. Mielismy się tu zatrzymać ze dwie godziny, co dawało możność wyładowania, ale nikt nie miał ochoty po temu. Wszyscy woleli zostać na okręcie, bo Nemours, widziane z pokładu na wyglądało na miejscowość, zasługującą na obejrzenie zbliżka.

Jest to niewielka osada francuska, złożona z kilkunastu jednopiętrowych domów i jednego kościoła pośrodku, którego ostrokończysta wieża króluje nad resztą dachów. Wszystko to, rzucone na ceglasto-żółte tło skalistego wybrzeża, nigdzie nie umajonego ani odrobiny zieleności, robi wrażenie takiej pustki, że wyobrazić sobie trudno, jak w tych domach mogą mieszkać ludzie, jak w tym kościele mogą odbywać się nabożeństwa... A jednak i tu żyją ludzie, pracują, kochają się, nienawidzą, współzawodniczą z sobą, a nawet interesują się tem, co się dzieje w Europie, jak o tem świadczyła łódka, którą niebawem ujrzelismy płynącą ku naszemu okrętowi, a która, jak się okazało, była łodzią miejscowej poczty, jadącą po listy, gazety i przesyłki z Francji...

W Nemours zabawiliśmy się do 5-ej, a kiedy wyciągano kotwicę, całe towarzystwo siedziało w sali jadalnej, gdzie właśnie nakrywano do obiadu.

8) Oran i powrót do Europy.

Do Oranu, który jest największym miastem francuzkiem na północnym wybrzeżu Afryki, przyjechalismy podobno o godzinie 11-ej w nocy. Mówię *podobno*, w chwili bowiem, kiedyśmy zawitali do Oranu, byłem niewolnikiem Morfeusza, co zresztą, oprócz kapitana i załogi okrętowej, wszyscy mogli powiedzieć o sobie.

Na okręcie, zwłaszcza kiedy podróż trwa kilka dni, człowiek mimowoli staje się podobnym do kury: kładzie się spać razem z kurami; a choć sen uchodzi za rodzonego brata śmierci, to jednak z nadejściem godziny 10-ej wszyscy czują nieprzewidywany pociąg do łóżek, wszyscy zdają się zaspanymi oczyma widzieć Morfeusza, jak im „makowem berłem potrząsa nad głową“, wszyscy co chwila podnoszą ręce do ust, ażeby tym dystygowanym gestem pokryć niedystygowane ziewanie.

Za to wstaje się rano, a tym, który mniej więcej przed 8-mą budzi wszystkich, najczęściej bywa apetyt. Na morzu bowiem, jeśli się nie jest zagrożonym chorobą morską, ciągle by się jadło: rano zaś, gdy się przez całą noc nie miało w ustach, zaczyna się swoje „dzienne sprawy“ od następującej metamorfozy, godnej Owidiuszowego pióra: ten sam człowiek—czy to będzie kobieta czy mężczyzna—który niedalej, jak przed 10-ma godzinami, tak był podobny do kury, teraz, ledwo przetrzął oczy, od pierwszej chwili, o dziwo! czuje się podobnym do wilka: czuje wilczy apetyt.

Tej metamorfozie miałem do zawdzięczenia, że i owej soboty, która była dniem 4 kwietnia, a której znaczną część miałem spędzić w Oranie, już o godzinie 8-ej rano stałem na pokładzie naszego okrętu, przypatrując się gorączkowemu ruchowi dokoła, który mię zbudził przed trze-

ma kwadransami, i czekałem na śniadanie, na które miano zadzwonić lada chwila.

Staliśmy w porcie, przy samym brzegu, niedalej niż o metr od wysokiego granitowego bulwaru.

Na dużym nadbrzeżnym placu, kąpiącym się w rannem, już dobrze dogrzewającym słońcu, a zawalonym mnóstwem beczek, skrzyń, worków, miało się mnóstwo obdartych i ogorzałych Arabów, którzy, zajęci przenoszeniem towarów, z okrętu na brzeg i odwrotnie, tyle hałasowali przy tem, że robili wrażenie, jakby się kłócili nieustannie, jakby im to trajkotanie przynosiło ulgę w dźwiganiu ciężarów.

Taki był pierwszy plan obrazu, na który, wsparty o żelazną balustradę, patrzałem w tej chwili. W głębi widziałem długi szereg domów europejskich w banalnym stylu renesansowym, upstrzonych mnóstwem sztyldów i napisów—francuskich. Zupełnie europejski widok! A jednak była to Afryka! Prawie nic nie świadczyło o niej. Bo nawet i to gorzyste wybrzeże, ogołocone z zieloności, spalane przez słońce, a w jednym miejscu, na prawo, na najwyższej z okolicznych gór, uwieńczone kościołem z dużym krzyżem na wieży, równie dobrze mogło być południową Europą, jak było północną Afryką.

Tymczasem dał się słyszeć upragniony odgłos dzwonka, obwieszczającego *déjeuné*. Nareszcie!

Po śniadaniu, które się przeciągnęło do 9-ej, całe towarzystwo wyspało się na brzeg, z zamiarem zwiedzenia Oranu, na co mieliśmy prawie ośm godzin czasu, gdyż okręt odpływał dopiero o 5-ej po południu. N. b. Kto by wolał zjeść drugie śniadanie na okręcie, zamiast w której z restauracji orańskich, nie cieszących się najlepszą opinią, temu—jak nas o tem uprzedził uprzejmy *maitre d'hôtel* okrętowy—wystarczało o zwykłej godzinie zjawić się przy stole: śniadanie będzie przygotowane dla wszystkich. Wobec tak uprzejmego oświadczenia, brzmiaćcego prawie, jak zaproszenie, wszyscy obiecali na godzinę 12-tą być przy okrętowym *table d'hôte* cie, za którym przemawiało i to jeszcze, że był zapłacony. Tymczasem przedstawiała nasza gromadka, do 30-tu osób licząca, bardzo sympatyczny widok. Ponieważ na termometrze było już 20 stopni Reaumura, więc wszyscy się powyletniali: mężczyźni wystąpili w nankinach i słomkowych kapeluszach, a jasne tualety dam, ocienione różnokolorowymi parasolkami, tworzyły bardzo efektowne plamy na szarem tle spiekłej ziemi.

Ferdynand Hösick.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nagrody przyznane

przez sąd konkursowy wystawczy-
niom, które wzięły udział w obecnej
wystawie pracy kobiet.

DZIAŁ I.

Bielizna, Hafty, Koronki, Konfekcja, Trykotaże,
Pasmanterya, Gorsety.

Dyplom uznania: Zakładowi Opieki N. Panny Maryi—za hafty kolorowe, hafty kościelne, koronki.—Szkole koronek, w Zakopanem—za koronki.—L. Ludwice Strońskiej—za koronki.—Medal srebrny wielki: A. Zbikowskiemu—za wyroby trykotowe i pończosznicze.—Maryi Sy-

monowicz, wspólnicze firmy „Elżbieta“—za obraz „Dwóch żuawów.“—Medal srebrny mały: Melanii Choraży—za haft kolorowy.—Felicyi Kozłowskiej—za haft biały.—Medal brązowy: Rozalii Weinberger—za pasmanteryę i szmuklerszczynę.—Sahajdakowskiej z Kielc—za haft kolorowy na chorągwi.—Pomorskiej—za wyroby szmuklerskie.—Jadwidze baronowej Rajskiej—za hafty kościelne.—Annie Ludwig—za haft kolorowy, obraz haftowany.—Maryi Florentini—za haft kolorowy.—List pochwalny: Julii Jackowskiej—za bieliznę.—J. Sterling—za biusthalter.—Wandzie Grabowskiej—za wyroby włóczkowe.—Waleryi Pahl—za pranie chemiczne.—Maryi Rzepskiej—za staranne szycie bielizny.—Franciszce Banna—za jedwab surowy i wyroby z tegoż.—Karolinie Łazowskiej—za staranne szycie bielizny.—Leopoldynie Skwareckiej—za przygotowywanie dobrych pracownic.—Michalinie Słubickiej—za koronki kłóckowe.—Reginie Grzeszewicz—za koronki.—Maryi Rudzińskiej—za wyroby pończosznicze.—Dukath—za haft biały.—M-me Anna (Helena Kuczborska)—za gorsety higieniczne.—Hieronimie Pankiewicz—za hafty kolorowe i złotem.—Pelagii Borowicz—za hafty kolorowe i złotem.—Podziękowanie komitetu: Joannie Kleniewskiej—za różne tkaniny i warsztat tkacki oraz za poniesione starania około ich produkcji.—Baudouin de Courtenay—za ekran.—Karolinie Drojeckiej ze Stryjny, w gub. Lubelskiej—za roboty kościelne.—Hr. Ożarowskiej—za wzorowe prowadzenie zakładu.—Irenie Ryx—za robotę dywanu smyrneńskiego.—Klementynie Jasińskiej—za koronki po za konkursem.—Rafałowskiej—za wzięcie udziału na wystawie.—Jadwidze Krysińskiej—za współudział na wystawie.

DZIAŁ II.

Sztuka stosowana.

Medal srebrny wielki: Maryi Starża—za mozaikę drzewną.—Medal srebrny mały: Józefie Rodziewiczównie—za malowanie na porcelanie.—Bronisławie Poświkowej—za malowanie na fajansie.—Medal brązowy: Stefanii Piechowskiej—za malowanie na porcelanie.—Zofii Krystkiewicz—za gobelin malowany.—List pochwalny: Maryi Bentkowskiej—za porcelanę malowaną.—Leopoldynie Sulatyckiej—za porcelanę malowaną.—Alicyi Nowińskiej—za wypalanie na skórze i drzewie.—Jadwidze Teresie—za mozaikę drzewną (biórko).—Bronisławie Wiesiołowskiej—za malowanie na gazie.—Lucynie Latomskiej—za prace litograficzne.—Annie Wöner—za malowanie na materyi i porcelanie.—Podziękowanie komitetu: Hr. Ronikier—za nowy sposób malowania.

DZIAŁ III.

Galanteria.

Medal brązowy: G. Szyller—za papiery ozdobne i konfekcję.—M. Stokowskiej—za wyrób abażurów i zapoczątkowanie ich wyrobu.—List pochwalny: Ewelinie Rabinowicz—za wyroby introligatorskie.—Gustawie Jabłońskiej—za wyroby introligatorskie.—Helenie Rusieckiej—za wyroby koszykarskie.—Małgorzacie Hamburgier—za wyroby koszykarskie.—Reginie Rodkiewicz—za obsady do bukietów balowych.—Styczyńskiej—za wieńce druciane.—Cecylii Hildebrand—za wodę kolońską.—Władysławie Œwierdzińskiej—za abażury.

DZIAŁ IV.

Kapelusze, Kwiaty, Słoma, Pióra.

Medal srebrny wielki: Firmie Weller et comp^{te} za wprowadzenie wyrobu kapeluszy palmowych i wyrób tychże.—Medal srebrny mały: M. Friedberg—za wyrób kapeluszy.—D. Fleischer—za liście i przybory do kwiatów.—Medal brązowy: Firmie Gliwic—za konfekcję z piór.—Kapelusze słomkowe z Głogowca.—List pochwalny: Władysławie Skibińskiej—za kwiaty sztuczne.—Ludwice Zaleskiej—za bielenie słomy.—Podziękowanie komitetu: Wandzie Siwińskiej—za kwiaty po za konkursem.

DZIAŁ V.

Szkoły.

Dyplom uznania: Szkole rzemiosł przy ulicy Śliskiej—za ciągły postęp w robotach.—List pochwalny: Szkole pani Wiesiołowskiej—za prowadzenie kursu rysunku technicznego i kształcenie pomocniczych.—Szkole pani Róży Frydmann—za wyroby włóczkowe dzieci do lat 10-ciu.—Podziękowanie komitetu: Pani Zofii Bernstein—za wzorowe prowadzenie szkoły przy ulicy Śliskiej Nr 28.—Anieli Hoene—za wprowadzenie robót ręcznych w szerszym zakresie do zakładu naukowego.

DZIAŁ VI.

Szewcstwo.

List pochwalny: Waleryi Garnuszewskiej.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 2 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Vox mystica, przez Włodzimierza Perzyńskiego.—Sprawa kobiet w Finlandyi, przez A. Krz.—Kazimierz Gliński. Wrócił Powieść. (dalszy ciąg).—Teatr, przez K. Glińskiego.—Przyroda w poezyi, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).—Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).—Nagrody przyznane na Wystawie pracy kobiet.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 2. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 3 Декабря 1897 г.